

# CZEMU SŁUŻY BABADZIAFER

O tym, że niektórym nie przeszkadza „rzaba”, ślimaku w złym towarzystwie i trudnościach z japyką mówi **prof. Włodzimierz Gruszczyński** z Instytutu Języka Polskiego PAN, w którym powstaje Elektroniczny słownik języka polskiego XVII i XVIII w.

ACADEMIA: **Na czym pan napisał pracę doktorską?**

WŁODZIMIERZ GRUSZCZYŃSKI: Na komputerze ZX Spectrum, czego do dzisiaj niektórzy nie są w stanie zrozumieć. Moje samozaparcie było na granicy wariactwa. Pisałem w odcinkach po 10 stron, bo to cudo nie miało więcej pamięci, tylko dramatyczne 64 kb.

**I później trzeba było na dyskietki?**

Przepraszam, dyskietki? W połowie lat 80.? Nie, kasety magnetofonowe. A później był problem, czy da się to kiedykolwiek wydrukować. Na szczęście koledzy z Instytutu Informatyki UW dostosowali do ZX Spectrum gigantyczne drukarki wierszowe od ówczesnych superkomputerów.

**Czyli właściwie miał pan maszynę do pisania?**

Tak. Troszkę bardziej inteligentną, bo z możliwością przestawiania tekstu itd. Jak się przypomni sobie, od czego się zaczynało, to trudno się nie uśmiechnąć. A dzisiaj człowiek buduje systemy, które rozpoznają dźwięki i są w stanie zapisywać mowę w czasie rzeczywistym. Koledzy w Samsungu prowadzą prace nad tłumaczeniem symultanicznym w czasie rozmowy telefonicznej. Lem by tego nie wymyślił.

**To bardziej fascynuje czy przeraża?**

Mnie ciągle fascynuje, choć widzę zagrożenia. Ale przecież tak jest z każdym wynalazkiem. Możliwość rozszczepiania jądra atomu może nieść kolosalne korzyści, ale niektórzy wykorzystali to w złych celach. Sieć to z jednej strony inwigilacja i Bóg wie co jeszcze, a z drugiej strony – cała masa fantastycznych rzeczy, które ułatwiają życie. Na przykład cyfrowe biblioteki. Nie wyobrażam sobie dziś życia humanisty, badacza, leksykografa, który nie ma do nich dostępu z każdego miejsca na Ziemi. Jadę pociągiem, robię słowniki mogą sobie zajrzeć do Biblioteki Kórnickiej. Fenomenalne.



## POLSZCZYŻNA W INTERNECIE

**Ale młodzież tak dużo czasu spędza w Internecie, że przestaje żyć w realnym świecie.**

Rośnie nam nowa generacja i jednocześnie jesteśmy świadkami rewolucji technologiczno-kulturowej porównywalnej z tą zapoczątkowaną przez wynalazek Gutenberga albo ją przewyższającej. Wtedy też byli tacy, którzy bili na alarm. „Przecież do tej pory nasza wiedza była w nas, a w tej chwili jest obok” – grzmie-li. Rzeczywiście w końcu XV w. ludzie przestali mieć własną pamięć, coraz częściej korzystali z pamięci z dysków zewnętrznych, czyli z książek. Rozmawiałem niedawno z wykształconym, inteligentnym biznesmenem z Ghany i zapytałem go, w jakim języku u nich powstaje literatura? „U nas ważniejsza jest literatura mówiona. Każdy opowiada w swoimetnicznym języku” – stwierdził. Czyli jest tak jak za Homera i to jest piękne. Ale to nie ich tradycja przetrwa, nie zniesie konfrontacji z tradycją europejską i amerykań-

ską. Przerazenie ogarnia, jak się patrzy na młodzież tkwiącą z nosem w smartfonach? To samo myśleli rodzice czy dziadkowie w XV-XVI w., widząc, jak ich młodzież tkwi z nosem w książkach, zamiast słuchać starszych.

**Ale wtedy jednak trzeba było przynajmniej wiedzieć, gdzie szukać wiedzy. Nie było wyszukiwarek.**

Tak, ale nie oszukujmy się, że wszyscy czytali opasłe księgi od A do Z. Na przykład Biblia Królowej Zofii to były fragmenty, wybór dokonany ze względu na osobę adresatki. To już, można powiedzieć, było wyszukane. Byli tacy, którzy robili to, co wyszukiwarki. Wie pani, ile razy w XVII w., w którym polską kulturą rządili niepodzielnie jezuita i Kościół katolicki, wydano całą Biblię w tłumaczeniu uznawanym przez Watykan? Odpowiedź brzmi zero. Były tak zwane lekcjonariusze,


**Prof. Włodzimierz Gruszczyński**

jest językoznawcą. Kieruje Pracownią Historii Języka Polskiego XVII i XVIII w. w IJP PAN, prowadzi zajęcia z kultury języka polskiego na Uniwersytecie SWPS. Autor książek, m.in. „Jasnopis, czyli mierzenie zrozumiałości polskich tekstów użytkowych” (2015).

wlodkiewa@poczta.onet.pl

czyli to, co było potrzebne księżom do prowadzenia nabożeństwa. Po doświadczeniach reformacji bezpieczniej było nie dawać do ręki całej Biblii narodowi, bo naród nie dał Boże przeczytałby i zrozumiał. Po wydaniu Biblii w tłumaczeniu księdza Wujka w 1599 r. następne wydanie, mocno zmienione przez jezuitów, ukazało się w 1732 r. Prawie 140 lat później. W PRL najłatwiej było kupić Biblię w Brytyjskim Towarzystwie Biblijnym na Nowym Świecie w Warszawie. Niewielu miało świadomość, że to jest Biblia Gdańska, protestancka, w XVII-wiecznym tłumaczeniu.

**A co pan powie na to, że w 2015 r. autorzy Oxford Dictionaries jako najpopularniejsze słowo sezonu wskazali emotikon: płaczącą ze śmiechu paszczę.** Z czysto formalnego punktu widzenia bym zaprotestował, bo emotikon nie jest wyrazem, tylko wyraża emocje.

#### Ale pełni funkcję wyrazu.

Raczej znaku interpunkcyjnego. Tradycyjny wykrzyknik czy znak zapytania też wyraża emocje. Zwiększył

Przerażenie ogarnia, jak się patrzy na młodzież tkwiącą z nosem w smartfonach? To samo myśleli rodzice w XV-XVI w., widząc, jak ich młodzież tkwi z nosem w książkach

nam się po prostu repertuar graficznych znaczków. Moim zdaniem, to jest coś zupełnie naturalnego, jeśli się popatrzy na historię pisma. W Rzymie pierwsze inskrypcje są pisane czy wykuwane, jak leci, nie ma żadnych odstępów między wyrazami. Tyle jest litererek na kamieniu, ile się zmieści, i nie było żadnych znaków interpunkcyjnych. Z biegiem czasu pojawiły się kropczki, które oznaczały koniec wyrazu, później segmentacja na zdania, a w końcu doszły znaki zapytania, wykrzykniki. Teraz są emotikony.

#### No tak, łatwiej emocję pokazać, niż opisać.

Pewnie, poza tym jest zabawnie. Dla mojego pokolenia to ciągle nowinka, ale ja bym się na to nie obrażał. Potrafię to sobie ułożyć na osi czasu jako logicznie następującą zmianę, dla młodego pokolenia całkowicie oczywistą. Trochę mnie dziwi inna rzecz: dzisiaj młodzież, o której się mówi, że jest z epoki obrazków, z epoki bezpiśmiennej wtórnie, jednak woli wysłać esemesa, niż zostawić wiadomość głosową, napisać e-maila, niż połączyć się na Skypie. Dlaczego łatwiej

im pisać, niż mówić? Mam hipotetyczną odpowiedź: pisać można jednocześnie do wielu osób. A poza tym człowiek może robić jednocześnie inne rzeczy, np. słuchać radia, oglądać film. To mniej przeszkadza w innych działaniach.

#### Nie jest też tak, że za tekstem łatwiej się schować?

Tak, ale ma on jedną cechę, której ja bardzo nie lubię. *Verba volant, scripta manent* – słowa ulatują, pismo pozostaje.

#### Ludzie takie rzeczy wypisują w Facebooku czy Twitterze...

Myszę, że parę osób straciło pracę, kiedy firmy się dowiedziały, co ich pracownicy o nich myślą.

#### A niby słowo pisane wymaga namysłu.

Zależy, co się rozumie przez słowo pisane. Język ze względu na medium zawsze dzielił się na pisany i mówiony. I nie chodzi tylko o fizyczną postać, ale o to, że inaczej formułuje się teksty pisane, a inaczej mówione. Te pierwsze zawsze były bardziej oficjalne. Ale odkąd powszechne stały się komunikatory elektroniczne, pojawiła się refleksja, że tekst zapisany na klawiaturze choć fizycznie jest językiem pisany, to pod względem struktury, stylu i innych cech przypomina raczej język mówiony. Formuły powitania czy pożegnania są dokładnie z języka mówionego. Zazwyczaj autor nie zastanawia się nad przecinkami, nad błędami, tak jak w rozmowie nie przejmuje się tym, że powiedział „trza”, a nie „trzeba”. I jak napisze „rzaba”, to też trudno. To nie razi wielu odbiorców. W spontanicznej komunikacji ludzie są dla siebie wyrozumiali. To jest zupełnie nowa odmiana języka. Ni pies, ni wydra – chciałoby się powiedzieć.

#### Potrzeba nowej nazwy?

Język mówiono-pisany – tak się o tym mówi w bardzo wielu opracowaniach. Pośrednia forma języka. Znow nawiążę do XVII w.: jeśli weźmiemy dowolny rękopis z tamtego okresu, np. list Krzysztofa Opalińskiego, absolwenta wyższej uczelni poznańskiej, to dzisiejsze esemesy niewykształconej młodzieży to jest nic. Są w nim takie błędy, że nie sposób tego interpretować. Ja się zżymałem, że młodzież pisze „sie” nie „się”, dopóki nie zobaczyłem, że Opaliński w rękopisie w ogóle nie używał znaków diakrytycznych.

#### Wszyscy oszczędzają ręce?

W pewnym sensie. I myślą: szanowny czytelniku, głupi nie jesteś, wiesz, że tam ma być „ę” nie „e”.

#### Czyli nie trzeba bić na alarm, że to brak szacunku wobec języka, bo on się sam obroni?

Albo ktoś to jednak robi. W tym zapytaliśmy XVII w. też byli tacy, którzy o język walczyli. Puryści i, mówiąc

## POLSZCZYŻNA W INTERNECIE

ironicznie, kulturyści, czyli ludzie zajmujący się kulturą języka, czasami przesadzają. Kompletni abnegaci językowi również. Ale dzięki temu, że są i jedni, i drudzy, jest jakaś równowaga. Poza tym cały czas trzeba pamiętać, że na różne okoliczności mamy różne odmiany języka. Nie można przykładać miarki starannego druku PWN-owskiego czy Ossolineum do esemesa napisanego przez nastolatkę. A jest jeszcze coś takiego jak spontaniczność i żart językowy. Jak zostawialiśmy w domu kartkę do współmieszkańca, to czy ktoś się zastanawiał, czy ma być przecinek przed „że”? Na różne okazje różnie ubieramy swoje wypowiedzi. To było i jest nieuniknione.

**Język jednak świadczy o człowieku.**

Prawda, ale ten ubiór dobieramy również ze względu na towarzystwo. Inaczej rozmawiam w jachtklubie z ludźmi, z którymi żegluję, inaczej na spotkaniu towarzyskim, a jeszcze inaczej kiedy mnie ktoś zaprosi do radia czy do telewizji. No i inaczej w sali wykładowej. Oczywiście nie staram się być stary malutki, nie robię z siebie na siłę młodzieźowca, jednak dziś zachowuję mniejszy dystans językowy w rozmowie ze studentami niż robiłem to 20–30 lat temu.

**Pan walczy o język w internetowych czasach, przygotowując z zespołem Elektroniczny słownik języka polskiego XVII i XVIII w. Proszę wybaczyć, ale zapytam wprost: po co?**

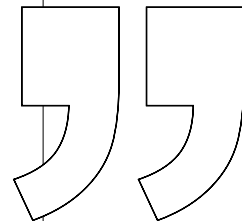
To bardzo celne, choć trudne pytanie. Żeby na nie odpowiedzieć, trzeba postawić inne: po co w ogóle jakikolwiek słownik? Słowniki to bardzo stary gatunek piśmiennictwa. Pierwsze w naszym kręgu kulturowym były dwujęzyczne, służyły do nauki łaciny. Albo biernie, czyli żeby móc czytać tekst łaciński i go jako tako rozumieć, albo czynnie, żeby mówić i pisać po łacinie. Były też tezaury, skarbcze, które miały z założenia dawać całe bogactwo łaciny. Początkowo jednojęzyczne, później z dopisanymi ekwiwalentami w różnych językach europejskich. Jest takie słowo, które w XVI-wiecznej Europie funkcjonowało właściwie we wszystkich językach: *calepin*, *calepinus*. Faktycznie to jest nazwisko XV-wiecznego mnicha, który zrobił taki tezaurus dla łaciny. Ono stało się jego nazwą. Mieć Calepina w bibliotece dworskiej po prostu wypadało, choćby – tak jak dzisiaj z adidasami marki Nike – napisanego już przez kogoś innego. Cele były dwa: dydaktyka i umożliwienie korzystania z dorobku jakiegoś innego narodu, innej cywilizacji albo innej kultury. Tak też jest z naszym słownikiem.

Jeśli przeciętny współczesny Polak otwiera w bibliotece cyfrowej skan książki wydanej w 1630 r., to od razu ma kłopot z gotycką czcionką. A nawet jeżeli się przez nią przebiję, to od czasu do czasu będzie miał problem ze zrozumieniem słów. Pół biedy, jeżeli nie zna jakiegoś wyrazu, bo go nigdy nie widział. Gorzej, jeżeli myśli, że zna dane słowo, bo bywa, że ono kiedyś

znaczyło coś zupełnie innego. Szkolny przykład: „gęba”. Dzisiaj to grube słowo, wtedy było normalne, nie pejoratywnego. A taki „ślimak”. Żeby zrozumieć jego znaczenie, trzeba sobie zdać sprawę z tego, na jakiej zasadzie działały pewne metafory. Dzisiaj to symbol powolności, ale w XVII w. dla wielu Polaków był raczej czymś ohydny. Dzisiaj wiemy, że należy do mięczaków, ale w dawnych klasyfikacjach najczęściej figuruje jako płaz lub gad. Zwierzę pełzające było wstrętne, a gad był mniej więcej tym, co robactwo. Ślimak należał wtedy do tego obrzydliwego towarzystwa. Inny przykład: „bazyliżek”. Dla XVII-wiecznego Polaka był czymś realnym i realne było to, że zabijał wzrokiem.

Wszystko się zmienia wraz ze zmieniającą się rzeczywistością, zmieniają się cechy subtelne wyrazów, czyli ich pragmatyczne, emocjonalne nacechowanie, swego rodzaju ocena zawarta w samym wyrazie. Jeżeli się nie przeanalizuje odpowiednio dużej liczby wystąpień w tym martwym języku – a XVII-wieczna polszczyzna jest językiem martwym – to jest dla nas język zupełnie obcy. Wpadamy w różne pułapki, czytając Potockiego, Morsztyna, Paska. Jeżeli mamy tekst

Na podstawie lektury wielu kontekstów staramy się dojść do tego, jak to słowo mogło być rozumiane, jak bywało używane, podajemy wszystkie znane nam formy fonetyczne, fleksyjne.



bez aparatu krytycznego – przypisów, słowniczków – jesteśmy bezradni, czasami na opak rozumiemy. Szczytowym przykładem są niektóre frazki Potockiego włączane do podręczników szkolnych. Niektóre są przecież obsceniczne. A autorzy podręcznika tego nie zauważyli. Ilu polonistów wie, skąd pochodzi np. przymiotnik „kiepski”? Od rzeczownika „kiep”. Dzisiaj kojarzy się z papierosem, niedopałkiem, ale w XVII w. to była nieprzystojna nazwa żeńskiego organu płciowego. Później stała się przezwiskiem dla mężczyzny o cechach kobiecych, frajera, mięczaka. Jak dzisiaj słyszę księdza, który w czasie kazania mówi o kiepskich zachowaniach... To jest przydługa odpowiedź na pytanie, po co ten słownik.

**W skrócie: żeby zrozumieć czas opisany, trzeba znać język, w którym go opisano.**

Tak. Ale to na pewno nie jest słownik przeznaczony dla przeciętnego Kowalskiego. Chociaż i tak jest bardziej czytelny niż Słownik polszczyzny XVI w. Jest stosunkowo łatwy w użyciu dla laików. Ale że dziś nie bierze

się do poduszki wierszy Morsztyna, przede wszystkim adresujemy go do wydawców literatury dawnej, którzy robią opracowania i chcą zobaczyć, w jakich kontekstach występowało słowo w utworze jakiegoś poety czy pisarza, jak go używali inni i co my jako autorzy myślimy na temat tego słowa. Przy czym nie mamy monopolu na rozumienie tych wyrazów, to są tylko nasze hipotezy. Na podstawie lektury wielu kontekstów staramy się dojść do tego, jak to słowo mogło być rozumiane, jak bywało używane, podajemy wszystkie znane nam formy fonetyczne, fleksyjne, warianty, żeby naukowiec reprezentujący inną dziedzinę – historyk, literaturoznawca – mógł z tego skorzystać. Najbardziej z tego, że ten słownik powstaje, cieszą się nasi koledzy z Instytutu Badań Literackich i z Instytutu Historii.

#### Ile jest w nim w tej chwili haseł?

Prawie 28 tys., z tym że w różnym stopniu opracowanych, a będzie ponad 80 tys.

#### Ile osób liczy zespół?

W tej chwili 7, a w najlepszym okresie było kilka osób więcej. Dziś każdy wybiera hasła według swojego gustu. Są takie, nad którymi pracuje się kilka tygodni, bo wymagają konsultacji, poszukiwania kogoś, kto się na tym zna – a to biologa, a to orientalisty, a to turkologa.

#### A pan czym się zajmuje?

Ja najczęściej sprawdzam, co robią koledzy, bo muszę zatwierdzać hasła. To jest najbardziej niewdzięczna rzecz, dlatego że poprawiam jakieś błędy i niekonsekwencje. Ale takie bardziej strukturalne, bo nasza redakcyjna instrukcja, mimo że tyle lat robimy ten słownik, jest ciągle *in statu nascendi* [w trakcie powstawania – przyp. red.]. Ciągłe się dostosowujemy do materiału i do innych słowników, żeby nasz był z nimi porównywalny.

#### Ile już lat tworzony jest słownik?

Kartoteka, którą tu mamy, powstawała od 1954 r. Dwa lata temu powinniśmy byli obchodzić 60-lecie prac nad słownikiem. Prototyp internetowy przedstawiliśmy zaś na Festiwalu Nauki w 2005 r. z młodym, ale już wówczas dobrze zapowiadającym się informatykiem Mateuszem Żółtakiem. Potem nastąpił pierwszy etap prac słownikowych – „wklejanie” haseł z wersji papierowej do wersji elektronicznej.

#### To znaczy?

Było to przenoszenie odpowiednio zmienianych artykułów hasłowych zapisanych na komputerze jako zwykły tekst do bazy danych opracowanej specjalnie na nasze potrzeby. Przy okazji trzeba było dokonywać zmian w strukturze słownika. Na przykład zlikwidować tzw. hasła odsyłaczowe. Najłatwiej wyjaśnić to na przykładzie współczesnym. Jeżeli robię słownik polsko-angielski, z którego mają również korzystać Anglicy, to nie mogę dać w nim tylko hasła „dech”, bo jak oni nastrafią w polskim tekście na wyraz „tchu”, to przecież nie będą wiedzieli, że on pochodzi od wyrazu „dech”. Muszę zrobić odsyłacz: „tchu, patrz dech”. W naszym słowniku tak były traktowane wszystkie warianty, np. alabarda – halabarda, apteka – aptyka – haptka – japtka – apoteka. W wersji papierowej musieliśmy zdecydować, który z tych wariantów jest podstawowy, zrobić hasło i odsyłacz. Były dwa wielkie pudła haseł odsyłaczowych dla tych, którzy za 50 lat mieli robić hasła na h, s, z itd. Tego się nie dało ogarnąć. Dziś, w słowniku elektronicznym nie ma problemu, bo każdy wariant ma status hasła odsyłaczowego. Nie ma znaczenia, który wyraz wpisze się w wyszukiwarkę, bo zawsze nas zaprowadzi do hasła głównego. Problem haseł odsyłaczowych przestał istnieć.

#### Widać koniec prac?

Nie. Ja końca na pewno nie dożyję. Ale nie dlatego, że powoli pracujemy, tylko dlatego, że jest nas za mało i mamy też inne obowiązki.

#### Które słowo z XVII w. lubi pan najbardziej?

Babadziafer. Po pierwsze, ładnie brzmi, chociaż oznacza więzienie, miejsce tortur. Po drugie, należeliśmy je tylko w jednym tekście, więc jest naprawdę niezwykle. Po trzecie, kiedy mieliśmy tak skomplikowany adres internetowy, że nie mogłem go zapamiętać, wpisywałem do wyszukiwarki internetowej „babadziafer” i już byłem na stronie. Wiem zatem, że dzięki temu słowu można nas natychmiast znaleźć w Internecie. I dlatego je lubię.

Z PROF. WŁODZIMIERZEM GRUSZCZYŃSKIM  
 ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA  
 ZDJĘCIE JAKUB OSTAŁOWSKI



POLSKA AKADEMIA NAUK | INSTYTUT JĘZYKA POLSKIEGO  
 ELEKTRONICZNY SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO XVII I XVIII WIEKU

o słowniku | lista haseł | zaawansowane wyszukiwanie | kwerendy | szerokość: 800

znajdź hasła | zaczynające się od | szukaj

przeszukaj także hasła w indeksie | a fronte | a tergo

wszystkie wyszukiwania dla przeglądarek Firefox i Microsoft Internet Explorer

ABCDEF GHIJKL MNOP RSTUVW XYZ ZZ

sposób prezentacji hasła | obszerne | zwięzły

poprzednie hasło BABA | obszerne | zwięzły | następne hasło BABCIA

Data ostatniej modyfikacji: 11.05.2016

**BABADZIAFER** rzecz. m

Słowniki nie notują  
 Najwcześniejsze poświadczenie: 1610-1625

Formy gramatyczne:

lp  
 D. babadziaferu

Etymologia:  
 tur. baba 'ojciec' + Dzafer 'imię'

„**świętzenie, miejsce tortur**”:  
 – Z rozkazaniami tedy samego cesarza dano go do babadziaferu, ażeby mu więzienie i męki i przykrości czynione były.  
 SmałtOwStGul 66.

wyświetl dyskusję na temat hasła (0 wiadomości) Autor: PK